Dorota Kulczycka

Gwarili na Bukowinie...

W epoce elektronicznego zapisu i przetwarzania danych, digitalizowania starodruków i zastępowania tradycyjnych bibliotek bibliotekami cyfrowymi, wydaje się, że każdy tekst, choćby został mechanicznie uszkodzony, zniszczony lub zaginął, nie będzie już narażony na zapomnienie. Zasada ta dotyczy zabytków piśmiennictwa. Już jednak romantycy jasno zdawali sobie sprawę z tego, że równie ważną rolę, jeśli nawet nie ważniejszą, obok literatury odgrywa słowo mówione, historie i wyobrażenia ludzi, znane tylko dzięki przekazom ustnym. W czasach, gdy nie było radia, telewizji, internetu i innych „osiągnięć" cywilizacyjnych, ludzie gromadzili się, by opowiadać nie tylko – jak pisał Adam Mickiewicz – „ojców dzieje", ale również baśnie, bajki, legendy. Tą samą drogą były przekazywane z pokolenia na pokolenie ballady i pieśni gminne. Miało to, rzecz jasna, walor poznawczy i kulturotwórczy, ale także społeczny: jednoczyło społeczność nie tylko danej rodziny, ale również wsi czy nawet regionu. Tradycja ta obecnie zanika.

Tym bardziej zatem należałoby zwrócić uwagę na popularyzatorskie, a w zamyśle twórców naukowe przedsięwzięcie, jakim było spisanie i opublikowanie przeplatanych osobistymi wspomnieniami opowieści górala czadeckiego, reprezentanta szeroko pojmowanej wspólnoty bukowińskiej, Zygfryda Seula. Joanna Gorzelana (redaktorka zbioru) szła więc śladem dziewiętnastowiecznych odkrywców folkloru polskiego, zbieraczy, kolekcjonerów i komentatorów nieutrwalonych na piśmie zabytków kultury słowiańskiej (jak Ryszard Berwiński, Zorian Dołęga Chodakowski, właśc. Adam Czarnocki, Kazimierz Władysław Wójcicki i Oskar Kolberg). Autorka pomysłu miała jednak, w porównaniu z nimi, ułatwione zadanie: słuchała tylko jednej osoby, nie musiała przemierzać wielkich przestrzeni i wszystkiego skrzętnie zapisywać w notatnikach. Opowiadaczem był bowiem jej własny ojciec, sam niegdyś mający zamiar spisania znanych mu od lat „historii". Wiarygodnym źródłem przekazu dla osoby opracowującej materiał słowny był dyktafon, pozwalający w każdej chwili sprawdzić, jak wypowiedziane słowo czy fraza brzmiały. Mimo tych udogodnień ukazała się publikacja z punktu widzenia antropologicznego i religioznawczego niezwykle cenna i oryginalna, z punktu widzenia lingwistycznego – bardzo niestarannie przygotowana do druku. Nie sposób tu o wszystkich błędach szczegółowo pisać, napomknę tylko o niektórych z nich przy omawianiu innych kwestii. Kogo winić za tak zmarnowaną szansę, jaka stała przed redaktorką tomu wydanego pod patronatem gorzowskiej uczelni w serii „Źródła"? Błędy nie są „winą" idiolektu opowiadacza, kwestią tradycji, której był on niejako medium i przekazicielem. Jest to po prostu wynik pośpiechu, konsekwencja pewnej niestaranności, której łatwo można było uniknąć. Nie usprawiedliwia rażących uchybień językowych, które – przyznajmy – bardzo utrudniają recepcję dzieła, wewnętrzny imperatyw, nakazujący redaktorce, którą będę nazywać „autorką", wierność słowu mówionemu. Wręcz przeciwnie – niekomunikatywność wielu zdań, brak znaków interpunkcyjnych, liczne błędy lite-

rowe, fleksyjne, składniowe są dowodem zjawiska proporcjonalnie odwrotnego: z pewnością narrator – Zygfryd Seul, nie mówił o sobie, używając czasowników w rodzaju żeńskim (a tak jest dwukrotnie w omawianej tu książce, np. „Jak byłem dzieckiem, to myślałam [brak przecinka] co to za baba, aby taką złą pogodę przynosić", s. 18). Jak mogłam się zorientować, nie unikał też nosówki w takich słowach, jak: „między", „książę", „imię", „więc" itp., zapisanych wadliwie. W antologii brakuje też innych znaków diakrytycznych, np. „tez" zamiast „też", „ze" zamiast „że", „poświecona" zamiast „poświęcona" itd. Częstym błędem jest albo brak słów (najczęściej przyimków), albo ich niepotrzebne dublowanie (np. „Pozbywali się starych ludzi, którzy nie j u ż mogli j u ż pracować", s. 12). Narrator prawdopodobnie nie gubił też głosek w wymowie wielu wyrazów. A takie wrażenie sprawia zapis. Czy można np. usprawiedliwić chociażby niewyraźną wymową pisownię „jakiś" zamiast „jakichś"? Błąd ten pojawia się, jak i wyżej wymienione, niestety wielokrotnie.

Autorkę usprawiedliwia tylko jeden, ale bardzo istotny fakt: wydawnictwo obiecało jej, że tekst – zgodnie przecież z naukowymi standardami – zostanie poddany korekcie. Była wskazana nawet osoba, która tego zadania miała się podjąć. Tymczasem książka niespodziewanie ukazała się drukiem i – ku jeszcze większemu zdumieniu, a może i przerażeniu autorki – na wewnętrznej stronie karty tytułowej umieszczono bezprawnie następującą notę:

Korekta
Joanna Gorzelana

Taka informacja – rzecz jasna – jeszcze bardziej pogarsza sytuację autorki, na którą przeniesiono odpowiedzialność również za ostateczny kształt publikacji.

Za jakąś ironię losu należy uważać, że do książki dołączona jest errata, informująca tylko, gdzie jedna z legend ukazała się już drukiem. A przecież można byłoby wykorzystać ją do sporządzenia rejestru błędów językowych. Co prawda, byłby to niezwykle długi rejestr, bo samych usterek natury interpunkcyjnej jest w publikacji ponad sto.

Czy jednak, pomijając odnoszący się do chwalebnych tradycji dziewiętnastowiecznych początek, niczego pozytywnego nie można napisać w tej recenzji o językowo niedopracowanej publikacji? Otóż nie. Przymykając oczy na wspomniane niedopatrzenia, skupmy się na walorach prezentowanej publikacji. Zanim to jednak nastąpi, rozpatrzmy układ graficzny i kompozycję edycji. Technicznie można wyróżnić w niej następujące części: *Wstęp* (w formie zapisu rozmowy córki z ojcem), kolejne „opowiadania", mapka – tzw. *Szkic Bukowiny*, *Słowniczek terminów*, bibliografia – tzw. *Wybrana literatura*. Na miękkiej okładce publikacji widnieją dwie identyczne czerwono-biało-niebieskie ilustracje przedstawiające drewnianą, misternie wykonaną studnię na tle drzew iglastych. Nigdzie jednak nie jest objaśnione ich pochodzenie, mimo że redakcja otrzymała wraz z fotografią informację, że jest to zdjęcie studni bukowińskiej autorstwa Elżbiety Wieruszewskiej.

Redaktorka przyznaje, że tajemnica dotycząca kompozycji antologii tkwi w podtytule. Kolejność miała być zatem taka: baśnie, legendy i historie prawdziwe. Klasyfikacja ta jest pod względem genologicznym niejednoznaczna: cóż bowiem miałyby znaczyć owe „historie"? Dodajmy, że takim zresztą mianem autorka oznacza we *Wstępie* wszystkie teksty (np. na s. 7). Pierwsze z zamieszczonych w zbiorze kwalifikują się raczej do grupy apokryfów, następne to zaś legendy nasycone raz silniej, raz słabiej pierwiastkiem baśniowym – ludową fantastyką. Bywają też narracje stosunkowo krótkie, ukryte w głębi antologii, które nazwalibyśmy anegdotami bądź komentarzami (do poprzedzających je np. afabularny komentarz *O skarbach doboszowych* następujący po legendzie *O doboszu i jego mocy*). Niektóre, jak wyżej wspomniana, pozbawione fabuły, w żadnym wypadku nie są ani baśniami, ani legendami, nie relacjonują żadnej historii. Gdybyśmy mieli kontynuować temat gatunków literackich, nie można by było z pewnością zapomnieć o elementach wspomnieniowych (rodzaj pamiętnika, w którym wątek osobisty odgrywa ważną rolę) i rysach zdradzających u narratora tendencje gawędziarskie. Co na to wskazuje? Weźmy pierwszą z wymienionych kategorii – wspomnienie. Pojawia się ono wszędzie tam, gdzie autor pisze o domu rodzinnym, dziadku „Titusie" i babci skłonnej do rzucania na innych klątwy (*Złorzeczenia*), o ojcu Wiktorze – podczas drugiej wojny światowej służącym w dywizji pancernej – i matce, zajmującej się domem (*Ryngraf Jasnogórski*), sąsiadach, krewnych, np. tych, którzy wyjechali do Rumunii, następnie zaś o współziomkach, którzy – jak rodzina Seulów – przywędrowali z Bukowiny do ziemi lubuskiej, w okolice Brzeźnicy i Żagania. Element gawędziarski przejawia się w nieskładnym, chaotycznym niekiedy toku wypowiedzi, w potocznym języku, w skłonności do zmyśleń i konfabulacji, w stosowaniu *praesens historicum*. Cechą gawędy polskiej bywa niekiedy rubaszny, męski humor. Jako taki pojawia się on przy okazji omawiania niektórych niewieścich wad, np. wścibskości (s. 38). Ogólnie jednak wszystkie „baśnie, legendy i historie prawdziwe" są przesycone ideą wielkiego poszanowania względem kobiet.

Pozostawiając zatem problematykę genologiczną, zwróćmy uwagę na inną, bardziej ewidentną prawidłowość, rządzącą kompozycją zbioru. Jest nią wybór tematu. Tak więc na początku pojawiają się teksty oscylujące wokół tematów ewangelicznych, związanych z życiem takich postaci, jak Maryja, św. Józef, Jezus, św. Piotr. Później, począwszy od „baśni" *Luna*, obserwujemy wypieranie tematyki apokryficznej przez mitologię związaną tyle z religią chrześcijańską, ile z magią i ludowej proweniencji demonologią. Następnie przeważają tematy: wielkoludów i „wielkoludek"; ingerencji sił demonicznych w życie huculskiej społeczności; marzenia o skar-

bach; gadów i węży; ponownie bosorek, diabłów i demonów; zamawiania chorób i innego zła; w końcu – powrotu na ziemie polskie (określone przez autorkę jako „historie prawdziwe"). Klamrę kompozycyjną – może niezbyt fortunny to, z ideologicznego punktu widzenia, pomysł – stanowi aluzyjne wspomnienie... Wojciecha Jaruzelskiego zestawionego z... cesarzem Austro-Węgier. Aluzja do generała pojawia się we *Wstępie* i na końcu ostatniego już opowiadania. Nie ulega wątpliwości, że antologia jest swoistą encyklopedią bukowińskiego zabobonu, wiedzy o czarach, gusłach, zaklęciach, „zamówieniach", odczynianiu uroków, ezoterycznym sensie ludowych porzekadeł i przysłów.

Niezwykle interesującym zagadnieniem, zwłaszcza z badawczego, antropologicznego punktu widzenia, jest kreacja, *de facto* autokreacja, znanego z imienia i nazwiska narratora. Narratorem kolektywnym, którego on jedynie – jako duchowy spadkobierca i kontynuator tradycji – reprezentuje i naśladuje, nie będziemy się zajmować. Ważne jest jednak uświadomienie, iż istnieją co najmniej trzy poziomy narracji: pierwszy, najmniej obecny, to poziom narracji redaktorki-autorki, drugi – który chcę tu pokrótce omówić – to poziom ujawniania się postawy opowiadacza – Zygfryda Seula, trzeci – to wielogłos z przeszłości – opowieści przekazywane przez kolejne pokolenia mieszkańców Bukowiny. Rzecz jasna, wszystkie, zwłaszcza dwa wymienione jako ostatnie poziomy narracji, przenikają się. Trudno byłoby chyba udowodnić, które partie legend opowiadacz powtarza w niezmienianej od lat postaci, w których zaś sam dodaje, a tym samym nieumyślnie dokonuje skażenia pierwotnej wersji przez jakąkolwiek amplifikację czy kontaminację. Można spodziewać się jedynie, że np. w komentarzu „ale już nikt nie pamięta [brak przecinka] jak się nazywała" wypowiada się narrator kolektywny (s. 32), natomiast w: „prawdopodobnie takim człowiekiem był w Stanowie Jano, on już zmarł" – sam Zygfryd Seul. Stwierdza on nieraz wprost zawodność pamięci bądź niemożność sprawdzenia dalszych losów bohaterów („A co dalej było, to już nie wiem, bo myśmy stamtąd wyjechali", s. 82). Narrator nader często ujawnia się jako konkretny człowiek. Najbardziej znamiennym rysem jego osobowości jest naiwna wiara w irracjonalne siły przyrody rządzące również światem ludzkim. Zachowuje się wówczas jak „człowiek pierwotny" w antropologicznym sensie tego słowa, w pewnej mierze przypomina „poetę naiwnego", w rozumieniu, jakie nadał temu słowu idealista niemiecki Friedrich Schelling. Nie odczuwa on granicy między uniwersum ludzkim i uniwersum natury, obydwa światy przenikają się do granic holistycznej jedności. Nie okazuje dystansu wobec magii, nie kwestionuje wiary w zaklęcia, gusła i istnienie fantastycznych istot. Puenta typu: „Bo były różne zaklęcia na niektóre skarby i określone warunki, pod jakimi można z nich korzystać" (s. 35), wydaje się jeszcze neutralna w porównaniu z innymi stwierdzeniami, np. „teraz na to wszystko się mówi czary. A są prawa przyrody. Jakiś rodzaj inhalacji czy coś, jak nie potrafi się wyjaśnić [brak przecinka] to nie znaczy, że czary. Bo jak się mówi, że ktoś na kogoś urok rzucił i osoba nagle słabnie, to co robić? Wziąć koszulę – najlepiej przepoconą – drugiego człowieka i obetrzeć nią twarz, czoło. Ale czy to są czary? To jakiś szok, który mobilizuje organizm, układ krążenia do działania [brak kropki] trudno to wszystko wytłumaczyć, ale nie można mówić, że to bajka, bo działa" (s. 40). Tego typu przykładów braku epistemologicznego dystansu odnajdujemy więcej w osobistych deklaracjach narratora. Tylko w jednym przypadku – instrukcji dotyczącej „wyhodowania" przez człowieka diabła – narrator zastrzega: „W każdym razie nie powiem wszystkich szczegółów, bo nie pamiętam i nie chciałbym podawać, żeby ktokolwiek próbował takie rzeczy" (*Diabeł w domu*, s. 61). Wiara w magiczne właściwości natury jest sprzęgnięta u niego z wykluczającym takie myślenie katolicyzmem. I nieraz ten drugi aspekt światopoglądu narratora zwycięża. Wtedy najczęściej wizja przyrody i Boga bywa ujęta na sposób franciszkański (zob. np. *Skarb w chałupie*). Motywem niemalże obsesyjnie pojawiającym się w tych narracjach jest motyw gadów. Już we *Wstępie* zostały wyjaśnione przyczyny owej preferencji: „Mnie [brak przecinka] na przykład [brak przecinka] fascynował zawsze ten fragment starotestamentowego proroctwa, że dziecko będzie się bawić ze żmiją i chyba dlatego dobrze zapamiętywałem wszystko [brak przecinka] co mówiono o wężach" (s. 7). Ta eksplikacja zostanie powtórzona w baśni *O gadach* (s. 39).

Tak prezentujący się narrator dokonuje ciekawych zabiegów uwiarygodniających omawiane historie, nawet te osnute na motywach fantastycznych. Mówi np.: „Ale to traktowane jako legenda i bajka dla dzieci. A tu zobaczyli na własne oczy tego olbrzyma" (s. 17). Nieraz tylko próbuje zachować dystans, komentuje, np.: „co było trochę dziwne" (s. 21), bądź wyraża przypuszczenie słowem „prawdopodobnie" (s. 23). Stosunkowo częstym zjawiskiem jest podawanie genezy opowieści, np.: „A tę historie [*sic!*] opowiedział mi stryk Dziordzik, starszy brat mojego Tatki" (s. 23).

System etyczny odgrywa w tych narracjach niezwykle istotną rolę. Można wręcz powiedzieć, że były one z pokolenia na pokolenie opowiadane, przede wszystkim po to, aby nauczyć słuchaczy moralności. Zasady współżycia międzyludzkiego są tu jednoznaczne. Jaką zatem hierarchię wartości przekazywał z pokolenia na pokolenie bukowiński lud? Popularyzuje się takie cnoty, jak: życie rodzinne, wierność małżeńska, wielodzietność, poszanowanie życia ludzi niedołężnych (*O starych ludziach* – legenda o przełamaniu okrutnego zwyczaju wrzucania w przepaść starców i morzenia ich głodem), pobożność. Ucieczka od obowiązków, np. ojcowskich, jest postrzegana w kategoriach aberracji – „zdziczenia" i „wariactwa" (np. *Późne potomstwo*). Moralny aspekt niektórych z legend bywał podkreślany dobitną, jednoznaczną, nieraz jednak żenująco przez swą oczywistość naiwną puentą. To wszakże domena myślenia ludowego. Ludowa jest również wiara w sprawiedliwość: dobro zostaje wynagrodzone, zło – ukarane. Karę w tych opowieściach

wymierzają najczęściej instancje „wyższe" od człowieka: Bóg, natura, los, a nawet... diabeł (zob. np. baśń *Czerwone buty*). Czas biegnie linearnie, ale też – jak w wierzeniach pierwotnych – cyklicznie, tak więc zło wyrządzone choćby w bardzo odległej przeszłości, zawsze wraca i mści się na winowajcy (*Szóstka*, *Wyrządzona szkoda*). Wartością w tym systemie jest – obok ładu moralnego – również względny dobrobyt, umożliwiający egzystencję. Narodziny dziecka są postrzegane w kategoriach błogosławieństwa; śmierci zaś (i ceremonii pogrzebu) zostaje odjęty rys traumy i nieszczęścia. Przyjście na świat, jak i śmierć na równych prawach wpisują się bowiem w porządek natury i eschatologii.

Z lingwistycznego punktu widzenia największym walorem książki miały być elementy obce współczesnej polszczyźnie, obecne zarówno w narracji Zygfryda Seula, jak i w języku przywoływanych przezeń postaci (ich wypowiedzi zostały zapisane kursywą). Nie chodzi tu tylko o gwary, ale również o języki obce. Wyrażenia typu: „Skołyte Pekator Ilija" (s. 59), „Sława Isu Chrystu" (s. 78), „Szto ty takij bogatyj" (s. 81) odzwierciedlają zróżnicowanie etniczne (i religijne) mieszkańców Bukowiny. Warto w tej antologii zwrócić uwagę na imiona i przezwiska (np. „Anoczka", „Józof", „Juro", „Kaczuszka", „Lajos"/„Lajosz", „Łazar", „Marija", „Mikietycha", „Mina", „Nastasija", „Odocija", „Wasil", „Zwinko" i inne). Niestety, nieraz jest widoczny brak konsekwencji w ich zapisie (np. „Zielounka" i „Zielunka", s. 77), niewynikający bynajmniej, jak w wielu innych przypadkach, z istnienia uwarunkowanych etnicznie wariantów imion (np. „Odocija", „Odokijja", „Odokija", „Odocia"). Między innymi właśnie w ononimach są zauważalne pewne właściwości gwarowe, nienazwane przez autorkę. Z tego powodu tekst mógłby służyć studentom jako materiał źródłowy z dialektologii. W tych „wrzuconych do jednego worka" formach gwarowych, które wedle intencji autorki miały być zapisem fonetycznym, można odnaleźć m.in. prejotację (np. „Jeżbietka"), „h" protetyczne (przydechowe, np. w imionach „Hadam", „Hundraszek"), rozkład i podwyższenie artykulacyjne nosówki (np. „poświncony", „kundziel", „wziun", „słunko", „Antuni", „Pojme du dom") oraz inne podwyższenie artykulacyjne samogłoski – „zolety", „wojok"). Charakterystyczne dla języka opowieści są również środki stylistyczne, spieszczenia i zdrobnienia (np. „Anoczka", „Hundraszek", „jakiesik", „słunko"), animizacje i antropomorfizacje (np. ptaków, psa, demona). Cechą świadczącą o artyzmie są nie tylko wspomniane już układy cykliczne, ale również występujące w obrębie jednego opowiadania retrospekcje i inwersje czasowe (np. w *Jak Pieter mocował się z bosorkami*). Rozpoznajemy gwaryzmy, będące reliktami dawnego języka, a obecne w końcówkach fleksyjnych („pojme", „bych") i potoczne konstrukcje frazeologiczne (np. „wziął pospuszczał"). Ludowe, rozpoznawalne też w piśmiennictwie średniowiecznym, a potem stylizowanym na folklor – romantycznym, są konstrukcje anaforyczne, raz po raz ujawniające się w narracji Zygfryda Seula (zob. np. s. 17). Gwary są obecne w całym tekście, ale prawidłowością skonstruowanej sztucznie kompozycji jest to, że pod koniec dzieła są one przede wszystkim zarezerwowane dla języka bohaterów. Obok form gwarowych (np. „Jozof" czy „Józof") istnieją ogólnopolskie („Józef"). Ta niekonsekwencja miała być świadomym zabiegiem ilustrującym stopniowe zanikanie gwary. Ponadto w cyklu opowieści o bosorkach (s. 45–46) odczuwa się wyraźnie odmienność gwary, co również mogłoby stanowić materiał do głębszych studiów. Dodajmy, że szczególne nagromadzenie archaicznych i gwarowych konstrukcji językowych pojawia się na początku książki. Obcym współczesnej polszczyźnie językiem są przede wszystkim przesycone pierwsze jej stronice – sama autorka-redaktorka pisze dwukrotnie we *Wstępie* „gwarili" zamiast „opowiadali". Myślę jednak, że jako popularyzatorka wiedzy o reliktach języka, powinna raczej zachowywać naukowy dystans i neutralność, nie tylko w prezentowaniu materiału, ale również w posługiwaniu się polszczyzną.

Zarówno etnolodzy, jak i językoznawcy mogliby korzystać z omawianej tu antologii. Prezentuje się ona jako ciekawy obiekt badawczy dla teoretyków i historyków literatury. Ci pierwsi mogliby zaobserwować, jak kształtuje się – mówiąc językiem Michała Bachtina – „żywa mowa", w czym jej struktura przypomina strukturę tekstów artystycznych, dzieł pisanych. Dla mnie np. inspirujące stało się odkrycie, że właściwością szeregu opowiadań jest predylekcja do ujmowania niektórych z nich w cykle (*Powrót z tureckiej niewoli* i *Na tureckim targu*, ponadto całe cykle tekstów np. o bosorkach albo gadach), zdolność do wprowadzania retrospekcji. Z kolei skłonność do ujmowania świata w sposób paralelny (np. przeprowadzanie analogii między przyrodą a uniwersum ludzkim, wiara w nieodwracalność pewnych zjawisk, np. ściąganie na siebie zła złem, natomiast wynagradzanie – dobra), przeplatanie wątków realistycznych fantastycznymi, tych z kolei religijnymi, kończenie opowieści puentą (nieraz doprawdy banalną, np. na s. 25 i 59), ich moralizatorski aspekt – to domena ludowego ujmowania rzeczywistości. Jak wiadomo, ludowy światopogląd przenikał następnie do literatury pięknej, czego najlepszym dowodem może być początkowa faza polskiego romantyzmu z Mickiewiczowskimi *Balladami i romansami* na czele.

W tym miejscu przechodzimy do dziedziny znanej nie tyle teoretykom (w szczególności poetologom), co historykom *belles-lettres.* W spisanych przez Joannę Gorzelaną opowieściach można dopatrzyć się wielu analogii z wielkimi zabytkami polskiego romantyzmu: ze wspomnianymi *Balladami i romansami* (np. w *Żonie karczmarce* pojawia się historyzm rodem z *Lilii*, ale baśniowa fabuła przypomina pewne sceny z *Balladyny* Juliusza Słowackiego); z *Grażyną* (*Powrót z tureckiej niewoli*, s. 23–27), z *Dziadami* cz. II (*Opiekun*, s. 79). Ucho literaturoznawcy rozpozna też echa *Kazań świętokrzyskich*, konkretnie *Kazania na dzień św. Katarzyny*, a w konsekwencji i starotestamentowej *Pieśni nad Pieśniami* (s. 59). Niejednokrotnie trudno jednoznacznie rozstrzygnąć o kie-

runku ewentualnych emanacji obrazów i słów. Czy motywy i wątki wędrowne owych baśni i legend miały wpływ na literaturę, czy też wtórnie – literatura odcisnęła artystyczne piętno na tych zgrzebnych historiach opowiadanych przez prosty, nierzadko niepiśmienny (narrator mówił o takich ludziach: „niegramotny") lud? Faktem jest istnienie jakiegoś pomostu między mową ustną i mową pisaną, jakichś intertekstualnych powiązań.

Dodajmy, że oddany dwa lata temu do rąk czytelnika zbiorek jest również świetnym materiałem do studiów historycznych. Młody człowiek, któremu ogranicza się obecnie lekcje historii w szkołach, może dowiedzieć się m.in. o warunkach życia mieszkańców Bukowiny podczas niewoli tureckiej w XVII wieku, reperkusjach wojny prowadzonej przez „hosudara" mołdawsko-wołoskiego (s. 23), warunkach egzystencji w czasach dwudziestolecia międzywojennego, wydarzeniach drugiej wojny światowej – przesuwanie się linii frontu, ustąpienie z Bukowiny wojsk niemieckich, a wkroczenie sowieckich, przybliżanie się „zagonów pancernych" pod dowództwem generała Czujkowa w kierunku Częstochowy, determinacja ludzi, nieraz niepiśmiennych, którzy wywiezieni w głąb Rosji wracali pieszo do swych domów rodzinnych (*Za słunkiem*) itd. – i PRL-u. Pojawiają się też aluzje do sądów, których jeszcze niedawno nie można było bezkarnie głosić, np.: „Nie bydzie Polski, zabili i utopili Sikorskiego" (s. 6).

Gwarili na Bukowinie wedle zamysłu autorki miało służyć przede wszystkim językoznawcom, szczególnie zaś dialektologom. Miało być materiałem przyczyniającym się do rozwoju stosunkowo nowych dyscyplin naukowych – etnolingwistyki i lingwistyki kulturowej, umożliwiających dotarcie do różnych aspektów kultury duchowej i materialnej górali czadeckich przez analizę ich niejednorodnego języka. Zważywszy jednak na ogromną liczbę błędów gramatycznych, bynajmniej niewynikających z „żywej mowy" opowiadacza, trudno mówić o bezwzględnie naukowej przydatności tekstu. Byłby on wielką doprawdy skarbnicą wiedzy nie tylko lingwistycznej, gdyby dokonano gruntownej jego korekty. Korekta ta wymagałaby ponadto konsultacji ze specjalistami zajmującymi się gwarami i dialektami, a także ze slawistami, gdyż język, jakim posługuje się narrator, zawiera w sobie elementy/odmiany ruskie, rumuńskie, wołoskie, ukraińskie (choć z tekstu wynika, że nie istniał jako taki język ukraiński, tylko żargon chachłacki, ruski: „nie odróżniano czegoś takiego [brak przecinka] jak nacja ukraińska – wszyscy [brak przecinka] którzy mówili po chachłacku [brak przecinka] określani byli jako Rusini", s. 27). Postuluję zatem, aby zmobilizować siły do sporządzenia wydania drugiego, poprawionego, z naukowym, edytorskim wstępem i fachowymi komentarzami. Zebrane opowiadania odzyskają wówczas należną im rangę naukową, trudną obecnie do odkrycia m.in. z powodu zakłócających lekturę (a tym bardziej badawczą analizę), rażących błędów językowych. Będą wtedy służyć i naukowcom, i studentom jako tzw. teksty źródłowe, ale również wszystkim potencjalnym czytelnikom zainteresowanym sferą przeżyć i wyobrażeń ludności zamieszkującej przez dziesiątki lat ukraińską Bukowinę.

***

Z. Seul, *Gwarili na Bukowinie. Baśnie, legendy i historie prawdziwe*, zebrała i spisała J. Gorzelana, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Gorzowie Wielkopolskim, seria: „Źródła", Gorzów Wielkopolski 2009